



**Andrzej Strug**  
**PROLOG**

**Andrzej Strug**

# Prolog



**Fundacja Festina Lente**

**P**ewien Stanisław Kozłowski, eksstudent medycyny, tym się wyróżniał głównie spośród tysięcy różnych Stanisławów Kozłowskich spod trzech zaborów, że wieczorami, powróciwszy z lekcji, marzył systematycznie o rewolucji socjalnej. Do uniwersytetu przestał chodzić już od paru lat, od czasu, gdy za jakieś, niewielkie zresztą, „nieporządki” uniwersyteckie, odebrano mu stypendium. Ani medycyna, ani przyszła kariera nigdy nie interesowały go zbyt. Bo czyż to nie wszystko jedno? – myślał sobie. I nabrawszy korepetycji tyle, żeby móc zapłacić za mieszkanie i za obiady, zaczął pędzić żywot kontemplacyjny, marzycielski i w przeważnej części polegający na wylegiwaniu się na łóżku i patrzeniu w sufit. Każdy normalny człowiek nazwałby go bez wahania próżniakiem. Odrzuciwszy z doby normalnej cztery godziny na lekcje, przez resztę czasu siedział w domu, palił tanie papierosy i myślał. Czasem zrywał się ze swego barłogu i zasiadał gwałtownie do pisania, nad którym przesiadywał nieraz całe noce. Czasami gadał do siebie lub wygłaszał długie płomienne mowy do nieobecnych tłumów. Sąsiedzi mieli go za spokojnego wariata, a znajomi przestali się nim ogóle interesować, gdyż od paru lat już nie dopuszczał do siebie ludzi.

Polubił samotność i nauczył się tak przyjmować gości, że rzadko który pokazał się w ciągu ostatnich lat. Było mu z tym dobrze. Ludzkość kochał bezgranicznie, ale ludzi nie znosił i to nie tylko filistrów i burżujów, ale jeszcze bardziej wszystkich swoich kolegów po marzeniach i towarzyszy idei. A znał ich wielu i obcował z nimi przez spory kawał czasu. Znał wodzów, znał tych, którzy wyrabiali się na wodzów, znał robotników i znał inteligentów, w sprawach niezmiernie ważnych głos nieraz zabierał i w obradach nieraz zaważył na szali wypadków. Były to bowiem czasy, kiedy niby to na robotnikach ruch stał, ale studentami się trzymał. Omal tedy nie został już Kozłowski członkiem jakiegoś najważniejszego komitetu, który rządził jedną z kilku, w Warszawie współzawodniczących ze sobą, grup, do której należało czternastu inteligentów i dwóch robotników. Komitet ten miał w ręku: wielką pieczęć partyjną, władzę nieograniczoną, oraz kasę partyjną, w której znajdowała się tajna ustawa oraz ze dwadzieścia funtów czcionek, zwędzonych różnymi czasami po różnych drukarniach warszawskich. O karierę jednak Kozłowski nie dbał, ambicji nie posiadał, a był o tyle odpornym, że nie zaraził się nią od swoich kolegów. Z „partii” też swojej wystąpił po roku i uczynił to ostentacyjnie, nawymyślawszy przedstawicielom swojej grupy i za program, i za taktykę, i za odezwy, i za literaturę, i za propagandę czynną, i za wszystko.

– Więc czegoż ty, ostatecznie, chcesz, wariacie? – pytali go oszołomieni towarzysze.

– To już ja sam wiem.

– Powiedźże i nam tę tajemnicę, żebyśmy zaś też zmądrzeli, jako i ty – drwiono zeń.

– Nie, już wy nie zmądrzejecie. Bywajcie zdrowi!

Rozstali się i odtąd Kozłowski zaczął prowadzić żywot samotniczy. Przez pewien czas nagabywali go rozmaici tajemniczy wysłańcy z innych grup i usiłowali zaagitować go i pozyskać dla swoich kościołów. Raz zeszli się u niego wypadkiem dwaj przedstawiciele rozbieżnych kierunków i Kozłowski brał się za boki, patrząc na ich miny i przysłuchując się ich platonicznej rozmowie, którą starali się pokryć właściwy cel wizyty. Ponieważ zaś każdy z nich chciał przeciwnika przeczekać, by móc zabrać się do gospodarza, tedy Kozłowski, ostatecznie znudzony, delikatnie wyprosił ich obydwu za drzwi, zapowiedziawszy, żeby mu raz na zawsze dano spokój, on bowiem wszelkie swoje hece społeczne już zakończył i właśnie ma się zamiar żenić z posażną panną.

Była to jednak nieprawda. Dopiero teraz, w samotności i skupieniu, z dala od hałaśliwego młyna nieustających dyskusji i intryg, zaczął się całą duszą zagłębiać w przepaście społecznego myślenia. Chodził myślami po sprawie społecznej, jak kochający ogrodnik po wypielęgnowanych własną pracą grzędach. Z lubością, całymi wieczorami wpatrywał się w jakąś dawno zmarłą ukochaną postać, którą Europa czciła już jako świętość, kanonizowaną według wszelkich obowiązkowych zwyczajów, a którą on kochał jeszcze jako żywego człowieka, po swojemu, naiwnie i głupio, i potajemnie przed samym sobą cierpiał nad tym, że postać ta już zeszła ze świata żyjących, i że już nigdy nie spotka jej na swojej drodze, nie wpatrzy się w nią uwielbiającymi, rozkochanymi oczyma. Kochał tak Marksa, kochał Lassalle'a, kochał nawet ich przeciwników i tych, którzy zaledwie przeczuwali prawdę, i tych, którzy nieświadomie torowali drogi i prostowali ścieżki dalekiej przyszłości...

Kochał i tych, których już wszyscy zapomnieli, których imiona tułały się kędyś w zaniedbanym zakątku pamięci erudyków. Nieraz spędzał długie godziny na pełnej zachwyty kontemplacji tych ogromnych prac i zamierzeń mózgów i dusz. Imię filozofa, społecznika nie było dlań suchym faktem, któremu towarzyszyła pewna ilość książek, mnóstwo przyczynków późniejszych komentatorów, krytyków i klasyfikatorów. Stawało ono przed nim, jako cały ogromny, odrębny i jedyny w swoim rodzaju świat, pełen uniesień i cierpień, pełen pracy i wysiłków nad odnalezieniem prawdy i najkrótszej do niej drogi.

Swojego czasu pożerał książki zapamiętane, trawiając nad nimi dnie i noce. Zaczęło się to jeszcze w gimnazjum, kędy w kółku uczniowskim na potajemnych zebraniach poznał płomienny *Manifest komunistyczny*. Czytano go tam głośno na zebraniach i komentowano obszernie, przepisywano na wiele rąk jedyny hektografowany egzemplarz, wydzierano go sobie, uczono go się na

pamięć w głębokiej tajemnicy przed ojcami, matkami, siostrami, braćmi. Wiedza tajemna, prześladowana i wyklęta porwała go i zabrała sobie na pastwę wieki. Koledzy jego, poznawszy nową naukę, pozostawiali sobie młodymi chłopcami, gotowymi naturalnie każdej chwili, jak się to mówiło wówczas, „stanąć na szafocie”, ale jeszcze prędzej gotowymi o każdej porze dnia i nocy do psich figłów i zwykłej swawoli uczniowskiej. A Kozłowski, raz próg myśli społecznej przestąpiwszy, przywdział włosiennicę zakonnika nowej religii. Stał się surowym i wymagał od swego otoczenia rzeczy niemożliwych. Usiłował nawracać ojca i matkę, próbował urządzić po nowemu stosunki koleżeńskie. W pewnym momencie zażądał nawet od swego kółka, żeby gremialnie i demonstracyjnie wystąpiło z gimnazjum i poszło na robotników do fabryk. Po wyczerpującej dyskusji uchwalono jednogłośnie uczynić to zaraz po ukończeniu gimnazjum, ale po minach poznał Kozłowski, że jest to tylko zwykłe gadanie i nic więcej. Ośmielił się nawet wypowiedzieć to głośno. Obrzucono go wymysłami, drwinami i Kozłowski uświadomił sobie w jednym momencie, że go tu prawie nienawidzą. Zabolało go to niezmiernie. Drwiny zaś z jego najdroższych marzeń, ośmieszanie tego, co wypływało z najgłębszych wierzeń jego duszy, dokonało w nim przewrotu; o ile przedtem w dyskusjach i w agitacji otwierał na oścież i to przed pierwszym lepszym całą swoją duszę – teraz zamknął się i zamurował przed całym światem. Nie dowierzał nikomu i po trosze zaczynał gardzić ludźmi. Uczynił się skrytym i zazdrośnie ukrywał przed całym światem swoje drogie tajemnice.

Skończyły się gorące dyskusje na zebraniach kółkowych, ustały swary domowe. Ojciec przestał go tyranizować za herezje, niegodne Polaka i szlachcica, matka przestała dodawać do codziennego pacierza specjalną modlitwę „o odmianę”. Wszystko wróciło do równowagi. Stasiak, powróciwszy ze szkoły, zamykał się w swoim pokoiku i odrobiwszy, byle jak, nienawistne zadania szkolne, przełożywszy machinalnie pewną ilość wierszy Herodota i okresów Cycerona, poślęczawszy nad logarytmami i nad inszą mądrością urzędową, zatapiał się w swej ukochanej dziedzinie zapamiętałego myślenia społecznego.

Skąd mógł, ściągał książki, traktujące o zabronionej sprawie, nie było ich jednak wtedy prawie wcale w literaturze polskiej. Uczył się tedy zajadłe języków obcych i ze słownikiem w ręku mozolił się całymi nocami nad grubymi i trudnymi dziełami ducha niemieckiego, pośpieszał z wysiłkiem za lotną myślą filozofów–społeczników francuskich, notował pełne zeszyty wypisów.

Nieśmiało zaczął się już wówczas puszczać na pisanie komentarzy i przyczynków do wyłowionych z książek idei. I już wtedy zaczął nieśmiało nie zgadzać się z niektórymi, najbardziej niezbitymi teoriami i opierać się zdaniu autorytetów, uznanych już przez cały świat. Te herezje ukrywał starannie przed całym otoczeniem.

Osamotnieniem swoim duchowym nie martwił się. Nie odczuwał wokoło siebie żadnej pustki. Owszem, chwilami miewał napady żywej radości w tym

życiu samotnym – rozkoszował się tajemnicami swoimi i wyłącznością ich posiadania.

Tak, wciąż bardziej zamykając się w sobie, spędził ostatnie lata gimnazjalne i posuwał się wciąż na drodze osamotnienia swoich myśli. Świat zewnętrzny i wszelkie sprawy jego obchodziły go tylko z punktu widzenia pewnych ogólnych spraw. Ludzkość zasłaniała mu ludzi, nawet najbliższych. Stracił ojca, w pół roku potem matkę i przeżył te straty bez żadnego żywszego wrażenia. Pozostał na świecie sam jak palec, odziedziczywszy po rodzicach nieco mebli i ruchomości oraz parę tysięcy długów, zaciągniętych u dalekich krewnych. Meble sprzedał hurtem, zapomniawszy nawet pozostawić sobie paru gratów najpotrzebniejszych.

Zamieszkał gdzieś przy rodzinie za lekcje i po dawnemu zamykał się w swoim pokoiku. Jako student wkroczył w szerszy świat. Dostępnymi mu się stały zebrania „prawdziwe”, poznał kilka żywych autorytetów, dyktujących prawa całej radykalnej i społecznej Warszawie, przysłuchiwał się chciwie i czasami i sam gadał. Zdumiewano się jego uczonością w tak młodym wieku, ale karcono ostro za heretyckie zapędy, polegające, jak mu tłumaczyli starsi, na nie dość gruntownym opanowaniu materiału. Mimo to, za erudycję, rzecz dość rzadką w owych kołach, otoczono go szacunkiem niemałym.

Nie zawróciło mu to jednak w głowie. Kariera społeczna sama osuwała mu się w objęcia, mógł być zostać nawet bez żadnych specjalnych intryg królem kółkowym i władcą kilkudziesięciu dusz – gdyby choć trochę chciał się o to postarać. On jednak myślał wciąż o sobie tylko wiadomych rzeczach tajemnych, a między ludźmi i żywymi sprawami chodził trochę jak obserwator, trochę jak lunatyk.

Wreszcie po dwóch latach kółkowania zerwał stosunki ze wszystkimi i ze wszystkim. Stało się bowiem dlań jasnym, że wszyscy błędzą, a co najmniej, czyniąc bardzo wiele rzeczy nader pożytecznych i słusznych, pomijają z umysłu i z zupełną świadomością rzecz najgłówniejszą, bez której nic wielkiego i niespożytego powstać nie może.

Ilekoć razy zdarzyło mu się o tym zagadać, spadały nań ciosy i gromy. Od dawna więc nie wrywał się z tym i gdy ludzie znajomi byli najpewniejsi, że Kozioł już od dawna zapomniał o swoich fanaberiach, on z coraz większą, niecierpliwą tęsknotą czekał, czy nie znajdzie się ktoś, bodaj jeszcze jeden, który by to samo co on czuł i tego samego potrzebował. Czekał na próżno. Ogarniało go chwilami zdumienie i przestraszanie nad tak powszechnym zaślepieniem. Zdarzało się, że chwytalo go i dusilo straszliwe zwątpienie, przychodziła jedna i druga myśl okropna, myśl nie do zniesienia. W pewnych chwilach widział struchlałymi oczyma jak obraz ukochany, wymarzony, stworzony ciężką pracą długich lat myślenia, wypaczał się, tracił barwy, wykoszlawiał się, zamieniał się w bohomas, w nonsens...

Przeżył Kozioł i taką chwilę, kiedy już o włos tylko nie nałożył był sobie pętli na szyję. Bo jeżeli „tamto” przestało istnieć – to jakież cel mogło mieć w

ogóle jego własne istnienie? I jeżeli w ogóle świat w to nie uwierzy nigdy – to znaczy, że świat nigdy prawdy nie pozna. Po cóż więc istnieć samemu światu? Ocalał jednak i w tym okropnym dniu, kiedy to oglądał się po ścianach swego pokoju za jakim kolkiem lub hakiem; przekroczył znowu jeszcze jedną granicę i zbliżył się ku swojemu celowi.

Oto ostatecznie przestał wierzyć cudzemu zdaniu, przestał liczyć się ze zdaniem ogółu i choćby cały świat w powszechnym głosowaniu wszystkich narodów obalił jednogłośnie jego ideę – on zdziwiłby się, ale bez wahania zdecydowałby: „Świat cały się myli, ale ja się nie mylę”.

Staął tedy na progu wielkości, na punkcie, na którym stawali Budda, Chrystus, Mahomet... Na moment życia stanął, jak oni, w absolutnym osamotnieniu ducha, wyszedł poza obręb ludzkości i całego żyjącego świata – po to, aby świat ten musiał przyjść doń, by musiał żywiołowym odruchem zwrócić się ku niemu, jak ku słońcu odwracają się kwiaty, jak ku prawdzie zwraca się i, kołując niezbitie przez wieki, dąży ludzkość.

Samotność robiła swoje. Nie na darmo ku niej zwracały się po umocnienie, po naukę i po radę wszystkie wielkie prawdy i wielkie błędy starożytności. Coraz to wyraźniej, coraz wspanialej ukazywała mu się jego ukochana idea – coraz to częściej spływały nań rozkoszne fale objawienia, które z nieznanego prazródła prawdy bezpośrednio wlewały mu się w mózg i w krew, zapładniały myśl, podnosiły pierś w szerokim, szerokim, jak świat, oddechu.

Coraz to częściej zatapiał się w zawrotnym tumanie ekstazy, modląc się całą duszą do siebie tylko wiadomego bóstwa.

Całe noce spędzał na takich orgiach samotnego myślenia. Nieraz w zimowy ciemny poranek budziły go z zapamiętałego rozmarzenia ponure i nielitościwe syreny fabryczne, podnoszące ze snu mnogie tysiące spracowanych, niewyspanych, niewypoczętych niewolników maszyny.

Z różnych końców wolskiej dzielnicy szły nieubłagane ryczące głosy, jak poranne wycie zgłodniałych, żądnych krwi świeżej potworów.

Samotnik otwierał wtedy na oścież okienko swojej górki i, chciwie wciągając mroźne powietrze w rozpaloną pierś, wsłuchiwał się w głosy ponure. I marzył dalej, nieugięty, wyniosły, nieubłagany pan świata i twórca rzeczy nowych.

„A oto ja zmuszę was do milczenia – was, dzikie potwory, które wyjecie o tej godzinie na pohybel synom człowieczym na całym szerokim świecie!

Zwałę i rozsypię wyniosłe kominy wasze i cegła na cegle nie zostanie z olbrzymich kadłubów waszych, zmiażdżę stalowe wasze nerwy i płomieniem podsycane serca. Ogniem prawdy nowej spalę i stopię całe żelaziwo waszej żelaznej, miażdżącej duszę w człowieku potęgi, resztki i popioły wasze wichrem rozmiotę!

Zatrute legowiska wasze znakiem nowej prawdy odświecę i łzami niebywałej radości zleje je ludzkość zmartwychwstała – i łąka żyzna i cudna w zieleni i w kwieciu polnym obejmie w posiadanie ugnębioną przez was ziemię. Cyprysy smętne w czarnej zieleni staną tu oto na dawnych leżach waszych, by mówić szczęśliwym potomkom o męce pokoleń, które tu, w długim konaniu służące wam, poległy!...

By przyszłe pokolenia, patrząc na żałobne drzewa, pochyliły czoła w hołdzie dziadom i w przysiędze milczącej – jako że nigdy nie wrócą czasy przekłete, przekłete na wieki wieków...”

Słyszał, jak tuż pod nim, pod cienką powalą roili się, kaszłąc, klnąc i postępując ludzie, wstający do roboty. Słyszał ich ciężkie kroki po skrzypiących starych schodach, słyszał ich spieszące się stąpanie po błocie podwórza i żałował ich. Ale z pobłażliwym uśmiechem myślał o potężnych ruchach społecznych, które, domagając się nowego życia, od targowania się zaczęły z wrogiem, który lepszym jest od nich handlarzem, i o tych mnogich, krzątających się ekstowarzyszach swoich, którzy od tego zaczęli, że życie trawia nad tym i oddają za to, żebyś przyczynić tym wiecznie niewyspanym i zrywającym się do dnia ludziom, by grosz marny wytargować dla nich i odciągnąć z kasy kapitału.

„O grosz na dzień uczynić ich bogatszymi, o kwadrans na dzień przedłużyć im życie! Przy długiej pracy, przy wielkiej męce, przy najwyższym poświęceniu, nic nie uczynicie więcej. Życia nowego nie stworzycie, dusz nowych nie zbudujecie! I powróci wszystko dawne – wypoczęte, mściwe, zajadlejsze. Powróci życie stare!...”

I niechaj stanie cały świat na krótkim dniu roboczym, na dostatniej płacy, na powszechnym nauczaniu, na wygodzie i sytości... Dopóki dusze stare pozostaną – nic się nie zmieni na świecie.

W to tajemne, niezmożone i urągające wysiłkom apostołów życie duszy zagłębiał się coraz wyłączej. Tu już obywatel się bez książek, bez niczyjej pomocy.

Myślał. Sięgał do głębin duszy własnej, spowiadał ją surowo, przeprowadzał nad nią śledztwo, torturował ją bez miłosierdzia, czynił próby i doświadczenia i zapytywał się często: „A co byś uczynił, gdyby?...” Niezliczoną moc takich „gdyby” stawiał przed sobą. Przeżył i przemyślał tysiące najzawilszych sytuacji psychologicznych. Odkrył w sobie odmęt brudnych instynktów, odmęt, zaczajonych po zakątkach duszy, gotowych do skoku, zbrodni, czekających tylko na swoją chwilę.

Zaczęło się leczenie duszy. Zaczęły się czasy tajemnych zabiegów, specjalnie obmyślanych udręczeń ciała i duszy: sypianie na deskach, niepalenie w piecu zimą, zarzucenie papierosów. I nieraz, gdy po całym dniu rozmyślania, budziło go do życia uczucie głodu, nie szedł do swojej traktierni na Żelazną, ale pozostawał w izbie sam na sam z głodem i wodził się z nim za bary i zwyciężał. Nieraz, w gorączce marzenia i wyczerpaniu palącej ekstazy, odejmował sobie od



ust kubek z wodą i godzinami wytrzymywał piekielne męki nieugaszonego pragnienia.

Obmyślał i subtelniejsze przymusy i cieszył się, gdy po długich wysiłkach wynalazł sobie nową mękę, nową próbę. I triumfował, gdy tę nową próbę przełamał, przewyciężył.

Tak w samotności, w poście duszy i ciała trawił czas na rozmyślaniu, gotując się do olbrzymiego czynu.

Ów czyn ukazywał mu się w marzeniu, jako słup ognisty, który stanie łuną nad dziejami ludzkości i poprowadzi świat.

Z daleka, nieuchwytna i nie dająca się przyoblec w żaden kształt, olśniewała go chwilowa zjawa tego, co się kiedyś ma stać, co się stać musi.

Powstawał nagle, jak w przeraźliwym świetle błyskawicy, straszliwy obraz niebywałego przewrotu.

W sennym przywidzeniu układały się rzeczy niezmierne, wypowiadały się w dziwnym wyrazie wieki przyszłe, czasy wypełnienia i dokonania.

Albowiem wiedział, co zamierzył. Wiedział, że nie on sprawy dokończy, że nie on będzie oglądał nowy świat i nowego człowieka. Długie, długie lata straszliwych walk, potwornych przeobrażeń wstrząsać będą światem już po jego śmierci, kiedy żyć będzie jeno pamięć jego między ludźmi.

Przewidywał i widział ludzi wielkich, przepotężnych, którzy zasłonią go swymi olbrzymimi czynami. Kochał ich, korzył się przed nimi, i szczerą była jego radość w tym proroczym widzeniu.

Istniała bowiem jeno sprawa, a nie on. Była krzywda, była nieprawda, od których trzeba świat wybawić. Niepojętych to wymaga sił i wielu, wielu bohaterskich serc, wielu dusz głębokich i nadludzkich myśli.

On będzie tylko pierwszym, on rozpocznie. Dokona rzeczy olbrzymiej, jeżeli wypowie pierwsze słowo nowej nauki. Będzie drobnym okruczem i słabym poruszeniem – a jednak wywoła lawinę zdarzeń. Przemieni się oblicze świata i wszelkich spraw jego – ale on pozostanie tym, czym jest – skromnym, prostym poprzednikiem. Nie myślał ani o swojej wielkości, ani o sławie.

Myślał o swoim czynie.

Minął już dawno czas, ten dziecięcy wiek jego zamierzeń, kiedy chwytał za pióro i spisywał nocami ukochane swoje marzenia. Czas taki był i przeminął, ustąpił miejsca dojrzałości. Pozostały po nim stosy zapisanych kartek – owoc pracowitych dociekań, niespodziewanych natchnień, marzeń serdecznych. Były tam utwory, stworzone przez niego świadomą wolą i pracą, były dzieła wyższej nad jego woli – dzieła tajemniczego objawienia.

Kochał ten swój świat. Zabrał on mu lata młode. Tam, na te kartki otrząsnął się pierwszy, dziewiczy kwiat jego duszy. Kto wie, co tam było? Może ogrom piękna i prawdy, może to, na co czekało jego pokolenie? Może tam była niepospolita zasługa, wiekopomna narodowa sława? Składał tam całego siebie, wypowiadał całą swoją tęsknotę do innego świata i całą ohydę tego, na co patrzyły oczy. Tam kochał, błogosławił, przeklinał, nienawidził. Żyły tam

niezliczone postaci. Przesuwały się losy narodów. Mówiły dźwięcznym, tragicznym głosem wielkie namiętności, skarżyły się żebraczym szeptem sponiewierane w podłym życiu dusze, wyły, w łańcuchach swoich okute od urodzenia, prawe instynkty. Były pieśni szczęścia, pieśni przyszłego życia – śpiewały je niesłychane dla dzisiejszego ucha chóry innych, tamtych, kiedyś ożyć mających potomków człowieka.

Nie wiedział, co to jest kochana kobieta, nie czuł na sobie spojrzenia miłości, nie znał ani udręczeń, ani rozkoszy – pisał to jednak w okresie, kiedy najgoręcej płoną serca i najokropniej kochają dusze. On te wszystkie moce kochania topił w jednej jedynej sprawie – i tworzył.

Był to dla niego cały świat, całe życie. Tam spoczęła, strawiwszy się, bogata jego młodość.

Aż spostrzegł w sobie któregoś dnia myśli inne, dla których zabrakło mu już słów. Niedołężny i ubogi stał się w jednej chwili jego wyćwiczony język. Zawahała się i opadła biegnąca w pisaniu ręka. Czekał. Szukał środka i sposobu, aby uchwycić, utrwalić nową, trudną myśl. Jednak myśl unosiła się wciąż wyżej, potężniała, urągała wszelkim wysiłkom.

Zaczęła się długa, uporczywa walka. Człowiek śmiertelny wyciągnął hardą rękę po to, co jest nadludzkie. Na ziemię ściągnął z wysoka to, co niepojęte. Zapamiętał się w zawrotnym prometeuszowym chceniu.

Wówczas to urwało się pisanie. Pogardził tym, co czynił. Zateśknął do niewyraźnego i to postanowił sobie zrozumieć.

Były mu jednak ukochane te pliki rękopisów. W rozterce, w zmęczeniu brał je często do ręki, przerzucał, przypominał sobie, jakim był, uśmiechał się do wspomnień, radował się im, jak dziecinie, która wyciąga doń rączkę. Były mu wypoczynkiem i drogą pamiętką te niegdyś wykochane i urodzone myśli i obrazy.

Ale nadeszła chwila, kiedy poznał, że jest w nim jeszcze słabość, którą wytepić należy do reszty, bo nadludzkiej mocy zażądała od niego sprawa. Nadszedł czas prób i katuszy. Udręczał ciało i zwyciężył. Przyszła kolej na duszę. Poznał serdeczne przywiązanie swoje do siebie samego i miłość dla zapisanych kartek, które z jego serca, krwią serdeczną w ciągu lat były pisane.

Była mroźna, polska zima. Trzaskały gonty na jego poddaszu i w utrapieniu żyło przemarznięte, skazane na wymyślne próby ciało. Ale zdarzyła się tej zimy noc jedna, i przez całą długą noc palił się suty ogień w wystyglym od dawna piecu.

Płoneły kartka za kartką, zeszyt za zeszytem, dzieło za dziełem. Znikały, wracały do nicości tragedie, pieśni, traktaty, dzieje, odkrycia, natchnienia. Konało bujne, piękne, ukochane życie. Prawdziwymi łzami płakał, żegnając siebie dawnego i pamięć swoją. Nierozumną i bolesną była jego rozpacz, jak przy zgonie bliskiego rodzzonego człowieka, który skonać musi.

Jednak nie zawahał się, nie oszczędził niczego. Wszystko poszło z dymem. Nie ogrzał go ten suty ogień – mróz wszedł w duszę i trzymał ją długo

w odrętwieniu.

Przez cały rok nie wziął do ręki pióra.

Znowu minął jeszcze jeden długi rok samotnego rozmyślania. Nie przybyło w nim wiele nowego, za to utrwały się, tężały zdobyte myśli. To, co unosiło się nad nim, jak potworna mgławica, jak nieuchwytny obłok, zmienny w kształcie, niestały w zabarwieniu, teraz zastygało z wolna, stopniowo, w przyrodzonym swoim wyrazie. Co dnia, co godziny wynurzało się coś z niewyraźnej pomroki, dopełniały się rzeczy rozbieżne, biegły ku sobie, łączyły się w jedną rodzinę rozproszone myśli, oczyszczała się idea z rzeczy przypadkowych, niepotrzebnych.

I nadszedł ów dzień niesłychanego szczęścia, kiedy stanęła przed nim obnażona ze wszystkich osłon, jasna, niepokalana, naga i okrutna – Prawda.

Długie godziny mijały w ekstazie, we wniebowzięciu. Szalona, obłądna, nie do zniesienia, straszna była jego radość.

Po raz pierwszy spostrzegł swoją samotność – nagły ból go chwycił, bo nie miał z kim podzielić tego okropnego szczęścia. Zażądała ulgi dusza, przywalona ciężarem radości. A nie było wokoło i nie było na całym świecie człowieka – przyjaciela, któremu można by było odkryć swoją tajemnicę, nie było na kogo zwalić brzemienia szczęścia.

Tego dnia wypadł na ulice miasta. Przebiegał je wzdłuż i wszerz, był w ogrodach i po nigdy nie zwiedzanych zaułkach, stawał na moście i długo patrzył w szare wody Wisły, wstępował, sam nie wiedząc po co, do kościołów. I nie miał gdzie się podziąć. O mało nie zaczepiał przechodniów.

Wreszcie wstąpił do jakiejś restauracji, bo już osłabł z głodu. Otoczył go gwar ludzki, oszałamiający, huczny, obcy. Patrzył w twarze nieznanymi ludzi, słuchał ich rozmowy, domyślał się ich trosk i radości, badał ich uśmiechy i zasepione czoła, wyobrażał sobie ich tajemne, wewnętrzne życie. Pragnął, szukał jednej jedynej duszy – która by kiedyś, kiedyś zrozumiała to, co przez niego spłynąć miało na ludzkość.

Szukał oczu, patrzących w niewiadome rzeczy, tęskniących do nieznanego. Na próżno o to pytał. I jeszcze raz pogardził dzisiejszym człowiekiem. Rozmyślał nad tym, czy dokonał już rzeczy najtrudniejszej – czy też najcięższa sprawa czeka go dopiero. Posiąść prawdę – wszak jest to prawie wszystko. Dokonać jej, znaleźć dla niej wiarę u ludzi, czyż jest trudniejsze? Rozmyślał, nie wiedział...

„Teraz, kiedy już wiem, nadszedł czas...”

Czuł tę konieczność. Czuł, że się stopniowo przeobraża. Inne stawało się samotne jego myślenie.

Dawniej urabiał siebie. Do siebie ściągał myśli i prawdy z całego szerokiego świata. Pytał dziejów, szukał rady w cudzych myślach. Walczył ze swymi instynktami, gnębił swoje słabości. Pracą mózgu, wysiłkiem woli,

wszelkimi pragnieniami serca zmierzał do jednego celu – aby wywołać prawdę, stać się godnym naczyniem do jej przyjęcia przechowania.

A teraz prawda jego miała pójść pomiędzy ludzi, w pogardzany, ciemny, brutalny tłum, na pastwę grubych mózgów, na uczone szyderstwo tych, którzy dzierżą władzę dusz, na pośmiewisko inteligentnej hołoty.

Głęboką, poważną i spokojną była jego nienawiść do tej klasy przodującej narodu. Tam żadnych nie rościł sobie nadziei, był bez złudzeń. Tęsknił najwyżej do jednej jakiej duszy, która by zespoliła się z nim i dopomogła mu, albowiem był sam na całym świecie. Wyobrażał sobie, że po jakimś czasie będą ku niemu ściągać rzadkie jednostki, i wierzył, że są prócz niego tacy, co tęsknią za prawdą, i których idea jego przekona i porwie. Ale to może stać się kiedyś, późno, kto wie, może już po jego śmierci. Na teraz liczył tylko na siebie – a w swojej sferze, wśród dawnych towarzyszy swoich, liczył tylko na wrogów i wiedział, że się nie myli.

To byli jego wrogowie najgorsi, najniebezpieczniejsi i nieprzejednani.

Oni jedyni stali na jego drodze, między jego ideą a ludem. Oni jedni mieli wiarę, którą lud mógł przyjąć, albowiem powstała dla niego, zrodziła się z jego krzywd i bólu. Była w tej ich wierze, w tym ich socjalizmie szczerłość, która podbijała serca, a wrogowi pozostawiała tylko jedną broń – siłę.

Już dawno minęły te czasy, kiedy usiłował naprowadzić socjalizm na jego przyrodzoną drogę – już zapomniał, kiedy przeklinał tę zarazę błędnego pojmowania człowieka, która, wbrew wysiłkom paru zapoznanych, rozpleniła się po świecie i ogarnęła umysły. Od dawna szedł własną, samotną drogą, wśród splątanych i krzyżujących się manowców społecznego życia.

I wiedział, że z tych jego ongiś rodzonych szeregów spadnie nań pierwszy cios. Wiedział, że dawni przyjaciele ścisną go ze wszystkich stron niemiłosierną obławą, że nie dadzą mu odetchnąć, nie pozwolą stąpnąć kroku. Będą z nim walczyli otwartą brutalną siłą i szepczącą potwarzą, szyderstwem, nauką i wszelką inną bronią.

A on miał tylko jedną jedyną broń – swoją prawdę. I sięgał po jedno tylko, po dusze ludzkie.

Nie myślał o stworzeniu wielkiej siły, nie dbał o doraźne, namacalne zdobycze, o rzesze wierne, o szybkie zniszczenie się ukrytych nadziei. Marzył o tym, żeby zaszcześcić w duszach swoje płomienne pragnienie prawdy i dobra, i żeby ujrzeni ludzie ohydę współczesnego świata tam, gdzie ona ma swoje jedyne źródło.

A znaczyło to – wypowiedzieć walkę całemu światu, wszystkim jego zbrodniom i wszystkim ustalonym cnotom. I tym, którzy byli sprawcami zbrodni, i tym, co buntowali świat przeciwko zbrodniom.

Wiedział o tym i zbierał siły. Szukał słowa. Rozpamiętywał przeżyte lata marzeń. Przypominał sobie to, co był ongi pisał o duszy ludu, o jego nieutulonym pragnieniu wiary i tęsknocie ku religii. Sprawdzał jeszcze raz wszystko. Co czynić? Jak czynić? Jak zacząć?

Znał wszystkie stare i nowe religie. Wiedział, jak sobie poczynął Zoroaster, Budda, Mojżesz, Chrystus, Mahomet. Wiedział, co było po nich, co było nowego, co od nich pochodziło. Znał sekciarzy, maniaków, obłąkanych, szarlatanów, marzycieli i natchnionych, i tych, co mieli swój czas, i takich, co się spóźnili o wiele stuleci.

Szukał ich po szpitalach, gdzie siedzą zamknięci chybieni twórcy rzeczy nowych. Studiował dzieła psychiatrów, wertował wypadki i przykłady z praktyki znakomitych mężów nauki.

Śmiało i uważnie patrzył w siebie. Badał swoje życie dzień za dniem, mierzył swoją myśl, ważył mózg, liczył uderzenia serca. Wiedział, że nie był maniakiem.

Wiedział, co czynią za naszych czasów ludzie, którzy wierzą, że przez nich mówi nowa, nieznana prawda etyczno-społeczna. Rozmaicie wygląda ich czyn. Piszą grube dzieła, które czytają ludzie, nie potrzebujący żadnej religii. Piszą cienkie broszury i rozdają je bezpłatnie na ulicach. Tych już nikt nie czyta. Urządzają subtelne konferencje, na które schodzą się snoby i histeryczki. Żądają głosu na wielkich zgromadzeniach ludowych, zwoływanych przez stronnictwa polityczne i są zrzucani z trybuny. Ogłaszają się jaskrawymi afiszami i przy dźwięku trąby i bębna mówią o Bogu, diable i o powinnościach człowieka; śpiewają psalmy stare lub nowe, wszystko ku uciechu gawiedzi. Organizują szkoły, do których chodzą ci, co chcą się uczyć, kolonie, do których jadą ci, co nie mają się gdzie podziąć, szpitale, gdzie leżą chorzy, warsztaty, gdzie przychodzą ci, co nie mają pracy.

Współczesność nie dawała mu żadnej rady, żadnego wzoru. Wstrętem przejmowała go Armia zbawienia, śmiesznymi byli prorocy z ludu, którzy co niedziela wylażą na swoje krzeselko na ulicach Londynu, żeby zaczepiać przechodniów i nudzić ich swoimi bredniami.

Czyżby ludzkość nie potrzebowała już religii? Czyż temu straszному potworowi, jakim jest życie dzisiejsze, da rady socjalizm? Kto i jak koi bolesne pragnienia duszy ludzkiej? Kto daje zupełną i uczciwą odpowiedź na wszystkie pytania dzisiejszego człowieka, upadającego pod ciężarem wszechobecnej krzywdy, duszącego się w zatrutym powietrzu kultury? Obiecuje mu kościół królestwo niebieskie i każe znosić ciężary. Dowodzi mu socjalizm, że będzie raj na ziemi, i każe ciężko pracować dla szczęścia prawnuków. A co na dzisiaj? Co dla tego człowieka, który żyje teraz, który ginie teraz o tej godzinie? Komu wystarczy sama nadzieja? Kogo zaspokoi sama walka?

Co zagłuszy ten straszliwy jęk, którego pełna jest każda przechodząca chwila? Który unosi się nad miastami, nad polami, który milknie jedynie w pustyni, w dzikich górach, nad bezbrzeżnym oceanem – tam, gdzie już nie ma człowieka?

Dla ulgi pochłania ludzkość morza alkoholu; dla ulgi człowieka rozpasala się i uczyniła się całym światem nieogarniona, niezniszczalna rozpusta. Kościołem stał się szynk, kapłanką jest dziewczyna publiczna. Tam gaśnie piekło bieżącej chwili. Tam są ekstazy – i tam szczerą ulgą tych, co dzisiaj cierpią, co żądają szczerzej, natychmiastowej pociechy.

Są odważni, są prawdziwie nienawidzący – tacy, którzy nie chcą już czekać ani jednej chwili – bo już wszystko zrozumieli i wszystkiego już mają dosyć. Ci się nie wahają – łamią prawo ludzkie i boskie, drwią z rozsądku, plwają na całą kulturę, szydzą z piękna i są zarazą i strachem śmiertelnym wolnych obywateli Zachodu. Jak na psów wściekłych, polują na nich wszelkie rządy, wszelkie kościoły i wszelkie opinie. A kiedy, co jakiś czas, rzadziej, częściej, w Europie, w Ameryce, gdziekolwiek bądź wybucha pocisk dynamitowy, kiedy giną niewinni ludzie w modnej kawiarni, na zatłoczonej ulicy, w przepelnionym kościele, wzdryga się świat. Albowiem kiedy pocisk pada bez swojego celu, bez wyraźnej myśli, bez świadomego przeznaczenia, kiedy pada na cokolwiek – na kogokolwiek – to uderza w cały świat.

Czyn niepojęty dla rozumu, zabity przez logikę i ekonomię polityczną, prześladowany na całym świecie i przez rewolucjonistów i przez policjantów. Sprawcę chwytą w swoje kleszcze logika, gilotyna odcina mu głowę. Bada nauka i preparuje jego mózg, szukając pod mikroskopem przyczyny tego, co się stało. Czy był obciążony dziedzicznie, czy był obłąkany? Czy był zbrodniarzem bez czci i wiary? Nie. To człowiek, który nie ma w co wierzyć, bo już rozumie wszystko i wszystkiego ma dosyć. To jest człowiek, który został sam na sam ze swoją krzywdą. To człowiek, który już nie chce czekać!

Religia jest potrzebną; jest tęsknotą i głodem codziennym cierpiącej ludzkości. Sprawiedliwości i kary żąda dusza.

Nową i ostatnią prawdą będzie ta, która pozwoli i nakaze człowiekowi głodnemu wyciągnąć rękę po chleb; ta, która pozwoli i nakaze mu zabić każdego, kto mu stanie na drodze.

Religia nowa będzie nakazem i spełnieniem, będzie prawem i obowiązkiem, będzie się zawierała w każdej mijającej chwili. Jej pierwsze przykazanie: Nie wolno czekać!

Jej prawo mówi: Bierz dla siebie, żyj dla siebie, albowiem to znaczy czynić dla wszystkich, dla potomnych, dla wieczności.

Nie szanuj swojego i cudzego życia, dopóki jesteś w walce. Nie szanuj niczego, prócz nienawiści do twojej krzywdy!

Nowa religia ma być zrozumiałą dla każdego skrzywdzonego człowieka.

Nowa religia spłynie na świat w potokach krwi i świat zasypie gruzami zniszczenia.

Urodzi się z niej człowiek mocny, szczerzy, dostoyny – ten, który nie zniesie swojej krzywdy.

Moja religia jest początkiem. Cokolwiek nastąpi, z niej musi czerpać. Kiedykolwiek ludzkość zbłądzi – do mnie powrócić musi.

.. .. .

Głęboko w duszy wyryte miał pewne niezłomne i już nieodwołalne idee. Szukał dla nich wyrazu prostego, wszechmocnego. Marzył, że zejdzie ku ludziom, jak Mojżesz z dziesięciorgiem przykazań, z krótką, jasną prawdą.

Gdzież jest jego Lud Wybrany? Gdzie się może objawić najmocniej nowa prawda i najrychlej wybuchnąć w czynie? Zanim ogarnie świat, gdzie po raz pierwszy odezwie się jej piorunujące słowo – czyn?

Od dawna już wiedział, że tym pierwszym czyniącym, że tym na wieki sławnym zwiastunem nie będzie polski lud.

Kiedyś głęboko kochał swoje rodzinne miejsce i swoich ludzi. Nie rozumiał czynu, jak jeno u siebie, dla swoich. Rozumiał krzywdy całej ludzkości, ale bolał serdecznie jedynie nad krzywdą, którą czuł wokoło siebie.

Dla swoich rodzonych ludzi miał łzy, przysięgi, zamierzenia i czyny swojego życia.

Potem wznósł się wyżej. Lata mijały, kiedy nie czuł pod stopami ziemi. Nie myślał słowami żadnego języka, nigdzie na ziemi nie miał swojego miejsca. Zapomniał, kim jest, gdzie się urodził.

Teraz, kiedy nadchodził czas próby i czynu, szukał dla siebie środowiska z zimnym, przenikliwym wyrachowaniem.

I cóżby miał do czynienia w Polsce, gdzie drzemały jeszcze wszystkie siły, które tam gdzieś, w świecie już ujawniły się potężnie, wyraźnie i same przez się uczyły i wychowywały ludzi? Kto słuchałby go w kraju, zgnębionym niewolą, gdzie zmałyły i skurczyły się dusze, gdzie czczono jeno relikwie przeszłości, gdzie jedynym czynem było wołanie do starego, głuchego Boga: Zmiłuj się nad nami! Wiele wycierpiał, ale za ciasno żył naród polski.

Gdzie szukać życia w ludzie polskim? Gdzie jest tego ludu wyraz? Gdzie jego dzieje? Gdzie jego bunt? Jego dzień zwycięstwa? Jego klęska? Jego krwią zaprzysiężona nienawiść i żądza odwetu?

Nie, nie żył jeszcze lud polski. Żyje jeno jego codzienna krwawa krzywda. Długie lata miną, zanim rozkrzewi się bodaj socjalizm. Zanim rozbudzi, zanim zrobi, co może, zanim zawiedzie tych, którzy chcą całej prawdy, zanim zrodzi takich, jacy już, już się pokazują w starej Europie.

A tymczasem przyleci do kraju wieść o nowej prawdzie, która miała blisko, a jednak daleko, na długo wywędrować musiała.

Pojedzie. Opuści na zawsze biedny, nędzny kraj. Zna prawda jego swoją drogę. Wie, gdzie i komu powiedzieć pierwsze swoje słowo.

Tam, gdzie stare są dzieje ludu. Gdzie nie obcą jest, a zwyczajną krwawa wojna domowa. Jest lud, który przed stu laty rznął swoją szlachtę, łeb uciął królowi i królewskiemu plemieniu, Boga obalił, palił na placach publicznych kości świętych narodowych i cudowne obrazy. Ale nie uciął łba swojej

krzywdzie lud, ubroczony we krwi. Przez sto lat burzyła się i wznosiła, opadała i cofała się fala ludowego gniewu. Lała się krew. Mijały trony, republiki, dynastie. Wielekroć pobity, wielekroć oszukany podnosił się lud w nowym pokoleniu i nic, żaden cios nie mógł go dobić.

Aż w morzu krwi, na dymiących zwaliskach stolicy stanęła republika, stanęła nad przepaścią nienawiści, jakiej jeszcze nie znał świat.

Było to w owych czasach.

Spieszyło mu się stanąć na tym, po tylekroć zlanym krwią, bruku Paryża, gdzie świeżą jeszcze była pamięć zbrodni, gdzie po ulicach błądziły jeszcze echa wystrzałów i jęków przedśmiertnych, gdzie unosił się jeszcze zaduch nieopogrzebanych trupów i obłoki prochowego dymu, gdzie nie zdołano jeszcze zatrzeć śladów zniszczenia, jakie zostały po kartaczach i pożarach.

Tam jest demokracja i wolna republika. Tam już nic nie osłania, nie ukrywa nagiej prawdy. Tam najmądrzejszy jest lud. Tam żyją zemstą synowie i córki pomordowanych. Tam na cały świat jest jedyne miejsce rozpasania i bogactwa. Tam są przedmieścia, gdzie sto tysięcy ludzi żyje w szałasach, a żywi się z tego, co wygrzebie co rano w śmietnikach.

„Tam pod czarnym sztandarem znajdę ludzi, którzy są dojrzały i gotowi do przyjęcia mnie i mojej religii.”

Krótkie było jego wybieranie się w drogę. Nie miał się z kim żegnać, nie miał żadnych interesów. Nędzne ruchomości darował stróżowi, spalił dużo papierów, spakował trochę książek i ubrania w walizkę i pojechał na stację.

Gdy jechał ze swoją dolą przez ulice Warszawy, po raz pierwszy od wielu lat uczył ból w zahartowanym sercu.

Ożyły na chwilę wszystkie prawe, ludzkie uczucia. Mordował je w ciągu długiego czasu w zajadłej, otwartej walce, zwyciężał je podstępem, filozofią, subtelnym rozumowaniem, usypiał ich czujność lekceważeniem. Wytruwał je jadem szyderstwa, powolnie z dnia na dzień morzył je głodem i doczekał się, że skonały, znikły bez wspomnienia.

A teraz rzucił mu się na pierś i przywalił z całej mocy ktoś ukochany, ktoś, kogo nigdy nie było. Szlochała jego zboląła pierś, zaciskały się wokoło szyi drżące ramiona. Cudne, ukochane usta szeptały coś do ucha, płynęły łzy gorące, ostatnie. Ktoś go żegnał, ktoś go żałował, ktoś mu w łkaniu niewyraźnym coś mówił na to wiekuiste rozstanie.

Jakaś dusza rodzona, najbliższa i jedyna błagała go już po raz ostatni w życiu: „Nie zostawiaj mnie samej, zabierz, pozwól mi za tobą pójść! Jakże ty sam pójdziesz w straszną drogę swoją?”

Jakaś chwila niesłychana, która nigdy w nim nie żyła, teraz spadła, przemknęła się, wzburzyła duszę do dna i znikła. „Czyś ty żył? Czy ty wiesz, gdzie twoje szczęście? Gdzie twój własny dzień? Czy nie żałujesz? Opamiętaj się! Obejrzyj się jeszcze!”



W turkocie wiozącej go dorożki, w hałasie ożywionej ulicy zawrzała nagle okropny, obłąkany strach: „Mylisz się! Zginiesz, zginiesz!” I zdawało mu się, że zawisł gdzieś na straszliwej wysokości i na próżno chwytając rękami, aby się utrzymać, aby nie runąć w przepaść, na ten świat obojętny, który rozlał się, jak okiem zajrzeć, przerażający, ogromny i nielitościwie spokojny.

Znikło wszystko. Tylko miasto rodzone, którego już nigdy nie ma ujrzeć, żegnało go cichym, bolesnym szeptem: „Przecież spojrzysz na mnie jeszcze raz...”

Spojrzał obojętnym okiem, albowiem już był odnalazł siebie.

Poznał tylko w tych chwilach, że na zawsze urwało się dawne życie. Narodził się w nim człowiek nowy. Obmierzła mu samotność i samotne rozmyślanie. Zapragnął zatopić się w olbrzymim, huczącym i potężnym twórczym życiu. Zateknił za tłumami ludzi, za przyjaciółmi, za wrogami, za walką na śmierć i życie.

Porwał go pociąg niepowstrzymanym pędem ku jego przeznaczeniu.

Samotny poszedł w obcy świat, który pożarł już tyle prawd i nowych, prawdę niosących, ludzi. Poszedł z nieubłaganą siłą, z ponurą radością, ze ślełą wiarą.

Kiedyś dowie się o nim świat. Powita go żelaznym uściskiem pierwszy dzień próby, dzień pierwszego jego czynu.

Jeszcze go ujrzemy.

Andrzej Strug

*Prolog*

Redakcja: *Hanna Milewska*

Zdjęcie na okładce: *Andrzej Milewski*

Copyright © for the e-book edition

by FUNDACJA FESTINA LENTE 2020

Warszawa 2020

Fundacja Festina Lente

ul. Nowoursynowska 160B/7

02-776 Warszawa



[www.festina-lente.org.pl](http://www.festina-lente.org.pl)



[www.chmuraczytania.pl](http://www.chmuraczytania.pl)



[www.elib.pl](http://www.elib.pl)